Rok 1935. 27 stycznia. Nr. 5.

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.

MAŁY KAZNODZIEJA.

Tak nazywano w latach dziecinnych św. Franciszka Salezego, którego święto przypada właśnie 29-go stycznia. Zawsze, skoro tylko znalazł się w gronie swoich kolegów, odmawiał z nimi modlitwy, śpiewał pobożne pieśni, a potem, jak młody kaznodzieja, wzywał ich do unikania grzechu, do postępowania w cnocie i do dawania drugim dobrego przykładu. Każde swoje przemówienie mały Franciszek kończył słowami:

Drodzy przyjaciele, chwalcie dobrego Boga, ponieważ dla nas stworzył On te piękne kwiaty, zielone łąki i jasne strumienie.

Ucząc się katechizmu przed przystąpieniem do I-ej Komunji św., pragnął tego samego nauczyć także swoich kolegów. W tym celu zwoływał dzwoneczkiem wszystkich malców, takich jak i on sam, ustawiał ich w kółko i tak długo powtarzał z nimi pytania i odpowiedzi z katechizmu, aż uczniowie umieli je na pamięć.

Św. Franciszek miał od najmłodszych lat bardzo dobre i czułe na cierpienia ludzkie serduszko. Kochał małe dzieci, a jeśli były biedniejsze, oddawał im wszystko co miał. Dlatego piastunka jego, ile razy wychodziła z nim na przechadzkę, zabierała owoce lub bułeczki, aby zawsze móc biednych czemś obdarować, inaczej bowiem mały Franuś płakał zaraz z żalu.

Jego dobra mamusia czytała mu czasem żywoty świętych. Wtedy Franuś wołał:

— Mamo ja także chciałbym być świętym!

— Drogi synku, odpowiedziała raz na to matka — jeśli pragniesz tego gorąco, Bóg ci napewno dopomoże. — A potem dodała: — Przedewszystkiem jednak zawsze pamiętaj nie kłamać, synku, bo kłamstwo pozbawia nas godności ludzkiej wobec Boga, ludzi i naszego sumienia.

To zapamiętał sobie dobrze mały Franuś i nigdy kłamstwo nie skalało jego usteczek. Jeśli nawet coś zbroił, chętnie przyznawał się do winy i obiecywał poprawę. Wcześnie nauczył się modlić i każdą wolną chwilę poświęcał Panu Jezusowi. Pierwsze zdanie, które zdołał wypowiedzieć, będąc jeszcze maleńkim, brzmiało: — „Pan Bóg mnie kocha“.

Takim był św. Franciszek Salezy w latach dziecinnych. A może i wy zechcecie go naśladować?

Ciocia Ruta.

CHŁOPCZYK I MIŚ.

Był sobie mały chłopczyk. Rodzice kochali go więcej niż skarby świata. Nie wiedział on, co to zmartwienie, nie wiedział, co to troska. Aż przyszedł raz dzień imienin chłopczyka. Dostał mnóstwo zabawek, jednak żadną się tak nie ucieszył, jak Misiem. Miś był ani bardzo ładny, ani duży, jednak chłopczykowi podobał się nad wszystko. Tego wieczoru paciorek jego po-

płynął złotą smugą do nieba, a Pan Bóg włożył go do złotej skrzyni, w której przechowywa najszczersze modlitwy.

Miś stał się powiernikiem chłopczyka. Aż tu raz Miś zginął. Chłopczyk był niepocieszony. Rodzice przynosili mu wiele innych zabawek, ale wszystko napróżno.

Była jednak w domu osoba, która umiała zawsze znaleść dla chłopczyka pociechę. Tą osobą była Babcia. Raz podczas przechadzki wstąpiła z wnuczkiem do kościoła. Tu przed ołtarzem św. Teresy od Dzieciątka Jezus zaczął chłopczyk prosić kochaną swoją Świętą, żeby Miś jego się odnalazł. Pomimo, że chodziło tu o taki tylko drobiazg, jednak Święta Terenia rozumiała, że dla chłopczyka była to sprawa poważna, stracił przecież przyjaciela. Posłała więc zaraz anioła pod postacią starej babuli kościelnej, żeby odniósł Misia chłopczykowi. Rzeczywiście wkrótce potem tulił on i całował swojego przyjaciela.

Chłopczyk rósł....Spotykało go coraz więcej przykrości. Wreszcie i Babci w domu nie stało, któraby ocierała każdą jego łzę, Wtedy przekonał się, że życie to nie zabawa, o życie trzeba bowiem walczyć. W niem traci się często o wiele cenniejsze rzeczy od wypchanego Misia. *Marek Konopka.*

W krainie wiecznej zimy.

(*Ciąg dalszy*).

Gdy pies znalazł zasypanego człowieka i sam nie mógł się do niego dobrać, lub przyprowadzić do przytomności ujadaniem, tarciem i wszelkiemi swojemi sposobami, wtedy pędził co sił do jednego z najbliższych schronisk, jakie pobudowali zakonnicy wzdłuż drogi jedynie możliwej do przebycia, i szczekaniem dawał znać, że trzeba biec z ratunkiem. Zakonnicy codziennie zresztą obchodzili zawsze wszystkie najniebezpieczniejsze przejścia i ścieżki, uzbrojeni w łopaty, żerdzie, nosze, tudzież w różne wzmacniające i ogrzewające napoje. Nawoływując głośno i różnemi sygnałami dając znać o sobie, śledzili bacznie psy zaprawione do odnajdywania śladów ludzkich. Tu jednak, gdzie wszelki ślad zniknąć mógł każdej chwili pod nowym wiewem wichru, jedynie instynkt bernarda zdolen był go odszukać.

Psy te są tak pojętne, że nawet nie znajdując śladów, kiedy natrafią na wielkie zwały śniegowe, czyli lawiny, rozdrapują je zaraz swojemi mocnemi pazurami, przeczuwając, że tam znaleść się może człowiek znagła i niespodziewanie zasypany zlodowaciałym śniegiem. Zwykle przywiązuje się im do szyi koszyczek z żywnością i wełnianą derkę.

Mnóstwo już ludzi w przeciągu kilku wieków uratowały poczciwe psy z góry św. Bernarda, same też często padały ofiarą swego szlachetnego zawodu. Ginęły, podobnie jak ludzie, w przepaściach, pod lawinami, lub z utrudzenia ponad siły. Toteż rasa tych nieocenionych ratowników malała coraz bardziej i dziś są bernardy już prawie na wymarciu. Strata ich byłaby poprostu nie do wynagrodzenia, gdyby się jednocześnie nie zmieniły warunki w górach alpejskich. Gdy przez długie wieki była tam tylko jedna jedyna droga, którą można było ostatecznie, choćby z najstraszliwszym trudem pokonać, aby przejść pełen śmiertelnych niebezpieczeństw łańcuch gór na poprzek, dziś istnieją tam już kute w skałach gościńce, tunele, drogi, koleje, które z kraju zupełnie dzikiego zrobiły okolice dostępne człowiekowi.

(Dokończenie nastąpi).

JASNA PANI.

Obrazek sceniczny. Napisała Ela Oleska.

(Dokończenie).

STRAŻNIK: Pewnie tam wejść zły. broni gad.
WĘDROWIEC: (*gorąco z zapałem*)
Człowieka już nie wstrzyma nic,
Gdziekolwiek blask tej Pani lic
Zdobywcy utoruje szlak.
Jej lampy wiódł mnie wszędzie znak.
(*serdecznie, zwracając się w stronę Jasnej Pani*) O, Pani Jasna, coś przez mrok
Prowadząc mój wędrowny krok,
Cudów mi poznać dała raj, —
Rodzinny oświeć ty mój kraj!
Ze wszystkich ziem, gdziem jeno był,
Bez żalu strząsnę z nóg swych pył.
Lecz ponad świat, gdzie wieczny maj,
Piękniejszy dla mnie własny kraj:
Rodzinny kraj, oblany krwią,
Gdzie lud jadł chleb namokły łzą.
(*serdecznie*) Ileż w nim jeszcze smutnych dusz
Nie widzi lampy twojej zórz!
Oświeć ty, Pani, dzieci te,
Rozdaj wśród nich promyki swe.
STRAŻNIK: (*poważnie, lecz z zapałem*) A wtedy każde weźmie z nas
Kaganek w ciemny ojców las
I póty skry siać będzie z rąk,
Aż mroki już oświetli wkrąg.
A kiedy noc zamienim w dzień
I z ciemnych chat już pierzchnie cień,
Szczęśliwy stanie się nasz kraj,
Jak tamte, kędy wieczny Maj.
JASNA PANI: (*łaskawie*) Mrok w waszym kraju serdecznie mnie boli.
Chcę wam dopomóc, ulżyć mu w niedoli.
Lecz w tem zasługa potrzebna mi wasza.
STRAŻNIK: (*żywo*) O, gdy wymaga jej Ojczyzna nasza,
Zawołaj, Pani, my na twe usługi.
JASNA PANI: Powtarzam, waszej trzeba tu zasługi:
Tę lampę ukochajcie, dzieci.
Mrok duszy ona wam oświeci;
Kraj martwy pod jej promieniem ożywa!
JEDNO Z DZIECI A jak się lampa ta dziwna nazywa?
WĘDROWIEC: Ta lampa cudów — to jest wasza Szkoła —
JASNA PANI: Jej się oddajcie, kiedy was zawoła.

(*Podczas sceny piątej wszystkie osoby znajdujące się na scenie grupują się nieznacznie do żywego obrazu, który w tej chwili należy kolorowo oświetlić. Właśnie podczas tego żywego obrazu Dzwonnik recytuje swój epilog*).

DZWONNIK: (*wchodzi dzwoniąc*) Dzień, dzień, dziateczki do szkoły!
Dzień — dzień — dzień — dzień!
Wiek szkolny
Czasem mozolny,
Ale radosny
Czas wiosny.
Oświata — życia mistrzyni —
Światłem w duszach czary czyni —
I wywodząc na świat z cienia,
W cudne kwiaty je przemienia.
Więc wpadajcie, jak w ul pszczoły,
Roje dzieci z różnych stron,
Gdy przyzywa was do szkoły —
Dzień — dzień — woła szkolny dzwon.

Dzwoni jeszcze głośniej, na co spada zasłona.

KONIEC.

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

(Ciąg dalszy).

Oprócz tego oddawał się tam pan Willington hodowli izonandrów. Obca to nazwa rosnącego na Molukkach drzewa, a jednak wszystko, czego światu dostarcza ta roślina azjatycka z nad równika, nie jest nam wcale obce.

Garbusek opowiedziałby dużo rzeczy ciekawych o tych izonandrach, wśród których w plantacjach ojca obnosił go jako malca na rękach żółty Chińczyk w długim kaftanie błękitnym, zaplatający swój warkocz aż do kolan. Jak przez sen pamięta Wil, że bawiło go niezmiernie, gdy z owego drzewa, w miejscu naciętem, wyciekało mleko.

Nieraz dzieciak miał ochotę napić się tego mleka kapiącego z drzewa, ale mu wtedy pokazywano, że to nie mleko; że ten sok zaraz na powietrzu tężeje i zamienia się na brunatno-żółtawe ciasto, miękkie, ciągliwe, nieprzyjemnie pachnące, które można było w palcach wygniatać, rozciągać na błony, ale które wcale nie pociągało do jedzenia.

Raz Wil włożył do ust kawałek takiego mdławego ciasta i skrzywiwszy się, zaraz wypluł. Dziś już przypomniałby innym chłopcom, że nawet ten, co nigdy na wyspy Moluckie nie jeździł, miewa nieraz w ręku takie ciasto, które na powietrzu przemienia się w sok mleczny z drzew izonandrowych. Wszak to gutaperka. A któryż z chłopaków nie miał piłki gutaperkowej? Któż z nas nie dostał w latach dziecinnych od rodziców zabawek gumowych, wyrabianych właśnie z gutaperki; lub też w czasach szkolnych nie wycierał z papieru słów niepotrzebnie napisanych, albo niezręcznie wyrysowanych figur kawałkiem gumy sprężystej, będącym właśnie wyschniętym sokiem mlecznym z drzewa gutaperkowego.

Wśród lasu owych dziwnych drzew, kapiących mlekiem gutaperkowem, upłynęły małemu Wilowi najpierwsze lata życia. Aż pewnego razu straszny wybuch wulkanu podczas silnego trzęsienia ziemi spustoszył znaczną część wysepki i. między innemi, zniszczył doszczętnie plantacje Willingtona, w których przedsiębiorczy Anglik hodował izonandry gutaperkowe i muszkatowce korzenne. W paru godzinach potoki gorącej lawy zalały ogromne plantacje i cały majątek kupca odrazu zniknął z powierzchni ziemi.

Dotknęło go jednak większe jeszcze nieszczęście, ponieważ właśnie wtedy Chińczyk, piastując mu synka, upuścił pod wpływem strachu z rąk dziecko, które skutkiem upadku stało się na całe życie garbate.

Trudno się dziwić, że biedny Wil, chociaż na każdym kroku otoczony przez ojca bogactwem, spogląda na świat zawsze smutnym wzrokiem. Czego by chłopczyk zapragnął, dałby mu ojciec chętnie. Wszak dla niego tylko osiadł w stolicy Jawy. Ale kaleka obojętnie spoglądał na leżące u stóp ich pięknego pałacyku miasto Batawję, w którem nic go nie bawiło, bo na cokolwiek spojrzał, zawsze czuł, że przygniata go potworny garb na plecach.

Choćby w tej chwili, gdy o zachodzie słońca wyjrzał na balkon... Upał się zmniejszał. Dokoła w sąsiednich willach widać było dzieci, wybiegające ochoczo na ogródki, by się pobawić wesoło. A tymczasem garbus, o poręcz ganeczka ciężko oparty, wodził oczami daleko aż po krańce widnokręgu. Kiedy zaś wzrok jego powrócił z tej dalekiej wędrówki i zatrzymał się na pałacyku, wynurzającym się naprzeciwko niego z gęstwiny palm i oleandrów, widoczny żal przyoblekł mizerną twarz kaleki.

(Ciąg dalszy nastąpi)